

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

17

W niecałych czternastu dniach rozegrał się ten tragiczny, a tak dziwny i piękny rozdział naszego życia.

Moja matka! jeśli parowiec pocztowy, któryśmy spotkali, przywiózł jej wiadomość o mnie, wiedziała przynajmniej, że żyję. Jak jednak przyjmie Helgę, obcą zupełnie dziewczynę, którą przyprowadzę jej jako nową córkę?

Wreszcie zaświtał ranek. Z współczujących spojrzeń Helgi wywnioskowałem, że fizyczne i duchowe przejścia ostatnich dni pozostawiły na mnie silne ślady. Zjedliśmy śniadanie, poczem napełniliśmy wodą próżne wiadro, które nam przez drzwi podali Malajczycy. Nakir skorzystał z tej sposobności, aby nas zakląć na Koran, że nie mamy się czego ich obawiać, jeśli ich wypuścimy. Mówił jednak do głuchych.

Po południu słaby wietrzyk zamienił się w silny wiatr, a okręt pochylił się silnie pod parciem żagli. Chłodne powietrze studziło nasze rozgrzane twarze. Przód okrętu pruł ostro wysoko piętrzące się fale, a statek pozostawiał szeroką świecącą smugę za sobą. Helga porobiła obserwacje astronomiczne i stwierdziła, że jeśli wiatr utrzyma się w obecnej sile, dotrzemy za kilka godzin do Tenerify.

Staliśmy rozmawiając przy burcie okrętu. Abraham chodził po przednim pomoście, odbywając straż, a Jakób spał opodal. Nagle wzrok mój zatrzymał się na głównym maszcie, oświetlonym purpurowo zachodzącym słońcem. Na wysokość jakich dwudziestu stóp otaczał go szary wyziew, który podnosił się z pokładu i owijał się wokoło drzewa. Przypisałem to w pierwszej chwili rozgrzanemu słońcem powietrzu, gdy wtem Helga krzyknęła:

— Okręt się pali!!

Równocześnie rozległo się wołanie Abrahama:

— Ogień! Mr. Tregarthen! Pali się! Dym wydobywa się już przez drzwi!

Oddałem Heldze prowadzenie steru i zbudziłem Jakóba. Nie myliliśmy się. U stóp głównego masztu wznosił się w górę obłoczek dymu, zataczając sine kręgi. Z dołu dochodziły zduszone krzyki; skoczyłem do otworu i zapytałem, co się stało. Nakir odpowiedział, że kilku ludzi przez nieostrożne obchodzenie się z lampą spowodowali pożar i ładunek okrętu się pali.

— Na waszego Boga was zaklinamy, wypuście nas zaraz, albo musicie spalić się marnie!

Pobiegłem z Jakóbem na tył okrętu. Przy pierwszym usiłowaniu otwarcia zapadni, prowadzącej do oddziału składowego, buchnął z głębi taki kłęb dymu, że odskoczyliśmy dusząc się. Przeżalenie odebrało mi prawie władzę w członkach. Stanęliśmy w obliczu nowej katastrofy, najstraszniejszej, jaka grozić może żeglarzom na pełnym morzu.

— Na Boga! co mamy robić? — jęknąłem.

— To przecież zupełnie jasne — odpowiedział Jakób, który najszybciej przyszedł do przytomności i spokojnie ocenił sytuację — musimy opuścić statek!

— A Malajczyków skazać na śmierć? — zawołałem wzdygając się.

— Słuchajcie! jak wrzeszczą na dole! — krzyknął Abraham, cały drżący z wzruszenia. — Musimy zaopatrzyć jedną z łodzi w żywność, a nim odbijemy od statku, ostatni z nas, który zejdzie z pokładu, musi otworzyć drzwi, aby mogli się wydostać. Tym ostatnim będę ja sam!

— Nie, ty nie! Ty nie umiesz pływać! — zaprotestował Jakób.

— Wezmę pas ratunkowy i skoczę potem do wody.

— Nie! ty wsiądziesz do łodzi, a ja zostanę, ostatni, na pokładzie.

Z dołu rozlegały się okrzyki i jęki, które zdawały się być zupełnie niepodobne do głosów ludzkich. Scinały one nam krew w żyłach. Wydawało nam się jednak rzeczą niemożliwą, aby wypuścić te bestie rozwścieklone na nas do ostatecznych granic. Z pewnością byłiby się na nas rzucili.

W gwałtownym pośpiechu znosiliśmy do łodzi wszystko, co można było w tej gorączce złapać, w końcu zatoczyliśmy kilka beczek wody, wrzucili zwinięte żagle, ster zapasowy, instrumenty, słowem wszystko, co się pod ręką znalazło. Do pośpiechu nagliły nas coraz straszniejsze wycia, które z dołu do nas dochodziły.

— Jeśli ci dzicy nie mają nas ścigać, to trzeba im odebrać także drugą łódź — zdecydował Abraham.

Siekierą wybił jej w dnie kilka dużych dziur.

— Czy wszystkie gotowe? — zapytałem.

Wtem Helga krzyknęła w ostatnim momencie:

— Czekaj Hugh! moja paczka, mój obrazek!

Skoczyłem na dół do kajuty, którą zamieszkiwała jeszcze za czasów kapitana Buntinga i wyszu-



...Przypatrywali się nam dziwnie spokojnie.

kałem paczkę. Tutaj nie było zupełnie dymu. Nagle przypomniałem sobie, że poprzedniego dnia w kajucie zamordowanego sternika widziałem woreczek z złotem i srebrnymi monetami; prawdopodobnie były to oszczędności nieszczęśliwego, owoc długoletniej pracy i ciężkich starań i trosk. Ponieważ nie miałem przy sobie ani centa, schowałem woreczek do kieszeni. Potem wylazłem na górę.

— Teraz, naprzód!

Najpierw Helga, potem ja wsiadłem do łodzi, Abraham i jego przyjaciel opuścili ją na dół, a po chwili dotknęliśmy powierzchni morza. Abraham spuścił się zaraz do nas po linie okrętowej i zaraz zabrał się do ustawiania masztu. Ja przytrzymałem łódź na linie, umocowanej do burty okrętowej.

— Bacność! — krzyknął Jakób z góry. Rzucił nam następnie buciki, czapkę i płaszcz. — Za moment skoczę do morza! Wyłówcie mnie do łodzi!

Puściliśmy ster w ruch, barka poszła pod wiatr tak, że żagiel naprężył się. Morze wznosiło się i opadało bardzo słabo.

— Niech pan da pannie Nilsen linę do trzymania — rozkazywał Abraham — my przymocujemy wiosła.

Ponieważ ciągle jeszcze znajdowaliśmy się pod

bokiem okrętu, nie mogliśmy widzieć, co się działo na pokładzie. Liczyłem na to, że więźniowie po wypuszczeniu będą za bardzo osłepieni słońcem i odurzeni świeżym powietrzem, żeby mieli rzucić się na Jakóba, zanim skoczy.

Czekaliśmy z zapartym oddechem; sekundy dłużyły się, jakby godziny.

Nagle rozległo się straszne wycie, a nad głowami naszymi padł rozkaz:

— Bacność! teraz!

— Puszczaj! — krzyknął Abraham.

Helga puściła linę, która łączyła nas z okrętem.

— W tył!

Abraham odepchnął łódź od statku i obaj zaczęliśmy energicznie wiosłować.

Z góry na ułamek sekundy mignął mi w powietrzu Jakób, który śmiało skoczył do wody, w następnej sekundzie pokryło go morze.

Zaraz potem ukazała się jego czerwona twarz o kilka metrów od naszej łodzi, kilkoma uderzeniami wiosła dobiliśmy do niego, a ja chwyciłem go za kark, aby dopomóc mu dostać się do łodzi.

— Doskonale zrobiłeś, Jakóbie! — pochwaliłem go. — Napij się wódki! Słońce szybko wysuszy ci ubranie.

— Gdzie są Malajczycy? — zapytał Abraham.

— Nie bawiłem się przecież z nimi — odpowiedział Jakób — krzyknąłem im: „teraz możecie wyjść“ i skoczyłem.

Spojrzałem na okręt i dojrzałem w tej chwili Nakira i Pnumeamootego, którzy spokojnie stali na pokładzie i przyglądali się nam. Obok nich ukazali się na pokładzie i inni Malajczycy, wszyscy jednak, zamiast ratować okręt i gasić pożar, przypatrywali się nam dziwnie spokojnie.

Zanim jeszcze mogliśmy się zorientować w tem, co się dzieje, całe zebranie Malajczyków wybuchnęło szalonym wprost śmiechem.

Przesyłali nam ironiczne znaki pożegnania rękami, a Nakir kłaniał nam się czapką i wybijał głębokie pokłony.

Następnie zaczął wydawać rozkazy spokojnym i donośnym głosem, który nie zdradzał bynajmniej obawy, ani wzruszenia. Marynarze rozeszli się szybko na swe posterunki, żagle poruszyły się, statek ruszył szybciej naprzód, a wiatr uderzył w napięte żagle. Spokojnie, jakby nic nadzwyczajnego się nie stało, popłynął okręt z pełnymi żaglami, popychany północno-wschodnim wiatrem.

Ze zdumienia po prostu pogłupiliśmy. Opuściliśmy wiosła i patrzyli oniemiałi na scenę, która przed nami się rozgrywała. Nie trzeba było wcale wielkiej bystrości umysłu, aby zrozumieć, że padliśmy ofiarą doskonale obmyślonego podstępu, przy wykonaniu którego ta kolorowa banda nie wiele ryzykowała. Sam zestawilem sobie w myśli, jak ta cała sprawa się dokonała. Spalenie wełnianego koca wystarczy, aby cały okręt napęlić dymem. Tak też zapewne zrobili. W każdym razie podstęp im się udał w zupełności, a dowodem tego był okręt płynący spokojnie w świetle poranka na południowy zachód.

Na widok takiego poniżenia moralnego obaj marynarze wybuchnęli wściekłym gniewem. Abraham trzasnął o ziemię czapką i zaczął wyklinać za odjeżdżającym statkiem. Jakób, przemoczony do nitki, dopomagał Abrahamowi z pełnego gardła, odgarniając ręką czarne swe włosy, które przyklejały mu się na mokrej twarzy.

— Pojadę za nimi — zgrzytnął zębami Abraham. — Nie podaruję przecież lajdakom mojego zarobku. Czyż ciągle mam tylko mieć pecha i tylko pecha? Najpierw historia z „Jutrenką“, a teraz ta sprawa, która mogła być każdemu z nas dać zarobku trzysta lub czterysta funtów. I człowiek jeszcze się litował nad tymi drabami!

Helga kierowała spokojnie sterem i podprowadziła łódź pod wiatr tak, iż pochylała się całkiem na bok i pędziła szalenie naprzód. Siedzieliśmy znowu, kupka opuszczonych ludzi, w otwartej małej łódce na niezmiernym, wielkim oceanie. Wokoło nie widać okrętu, a najbliższe wybrzeże odległe jest o kilkaset mil. Na dobitkę wiatr północno-wschodni nie pozwalał na żeglugę wprost ku wybrzeżu.

Mimo, iż położenie nasze było bardzo trudne,